

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 20. Sierpnia 1899.

Gospodarka socjalnych demokratów.

Lwów 19 sierpnia.

Prasa wiedeńska zajęła się w ostatnich czasach obliczeniem dochodów, jakimi rozporządza tzw. „partya” socjalno-demokratyczna w Austrii i doszła do następujących prawdziwych rezultatów:

Tak zwanych zorganizowanych socjalnych demokratów liczy sobie socjalna demokracja w Austrii pół miliona i każdy z nich płaci na wspólne cele podatek pogłówny po cencie na miesiąc. Pogłównie to tedy daje centralnej kasie socjalno-demokratycznej wiedeńskiej 60.000 zł. rocznie. Fundusz przeznaczony na ogólne strajki ma dochodu rocznie 1.300.000 zł. bo każdy „towarzysz” płaci do niego na tydzień po pięć centów.

Każdy zawód ma znowu swój osobny fundusz strajkowy, osobno robotnicy budowlani, osobno krawcy itd. i ten fundusz również dostaje 1.300.000 rocznie. Na fundusz prasowy idzie z kieszeń robotniczych na rok 520.000, tyleż na fundusz agitacyjny, a nawet zaniedbany fundusz, przeznaczony dla uwieczonych socjalnych demokratów, dostaje rocznie zł. 200.000.

Oprócz tego stałego dochodu zbiera się przy każdej sposobności składki na pomnożenie najrozmaitszych funduszy. Z tego źródła dostaje fundusz agitacyjny jeszcze z 10.000 zł. i taką samą kwotę fundusz strajkowy. Na rzecz budowy domu pod Wiedniem dla robotników idzie z tego źródła rocznie po 5000 zł. a na różne fundusze wyborcze okręgowe i zawodowe 520.000 zł. Po różnych stowarzyszeniach opłacają „towarzysze” przeciętnie po 20 ct. od głowy na wspólne cele, z czego się na rok zbiera poważna suma 10.400.000 zł. W stowarzyszeniach tzw. z niemiecką „kształcących” opłaca się po 5 ct. od głowy i to daje na rok 1.300.000 zł.

Ponadto są różne drobne źródła dochodów, jak np. procent od sprzedaży broszur, polecanych „towarzyszom” do czytania, dochód z pismek i broszur, wydawanych przez samą partję itd.

A na koniec są jeszcze nadzwyczajne wypadki, w których „partya” ucieka się do pieniężnej pomocy „towarzyszy”. Tak np. niedawno na wydawnictwo wiedeńskiej *Arbeiter Zeitung*, która popadła w dług, złożyli robotnicy w przeciągu pół roku 30.000 zł.

Ogółem można powiedzieć, że dochody partji, przeznaczone na cele wspólne dochodzą do 15 milionów rocznie. Jest to już tedy bardzo poważny budżet, dwa razy większy od budżetu galicyjskiego, choć Galicya ma nie pół miliona, lecz 7 milionów mieszkańców.

Za to utrzymuje „partya” armię agitatorów, którzy bez przerwy prowadzą robotę

wśród mas na rzecz „wspólnych” celów, prowadzi agitację wyborczą, pokrywa koszt najrozmaitszych zjazdów, komisji itd.

Po towarzystwach i towarzystwach, rozsiadanych po całym państwie austriackim istnieją znowu lokalne kasy, które opędzają lokalne wydatki i mają na to lokalne dochody. Jak wielkie te dochody być muszą, można sobie wyobrazić z faktu, że sama Austria Dolna, co prawda kraj najbogatniejszy, wydaje corocznie na socjalno-demokratyczną „organizację” 10 milionów zł.

Wszystkie te olbrzymie sumy idą z kieszeni robotniczej, a gospodarują nimi przywódcy socjalno-demokratyczni. Ci pełnomocnicy „zorganizowanych” tłumów za te miliony kwoty najpierw nie chcieli przyznać robotnikowi czeskiemu prawa przemawiania w sądach i urzędach po czesku, a następnie dla całej Austrii dali w prezencie rządowi § 14. Prezent kosztowny, to prawda, ale nieśtet zapomniał go sami zapłacić, a przeciwnie przepisałi koszt jego na konto całego ogółu obywateli.

SIROCCO.

Sirocco, zwany w Algierze „szył” jest w porównaniu z letnią spieką w Europie tem, co żar pieca fabrycznego w porównaniu z ciepłem kominka pokojowego.

Tego roku zaczął wiać na północnych brzegach Afryki 21 lipca, a nie tylko owi legendy najstarsi ludzie, ale nawet zapiski algierskich stacji meteorologicznych, prowadzone od dwóch pokoleń ludzkich nie pamiętają tak wysokiej temperatury i takiej suchości powietrza, jak były w dniu 23 z. m.

Sirocco zapowiadał się już 18 i 19 lipca gęstą mgłą, która spadła na wybrzeża algierskie. W Algierze samą mgłą ta była tak gęsta, że żaden rybak nie odważył się wypłynąć na morze. W takich razach w ożywionych portach łódz rybaka idzie na pewno zniszczenie, a rybak na pewną śmierć, bo z mnóstwa zawijających do portu parowców bardzo łatwo który na pół przeciąć może barkę, a rybaka pograżyć w ton morską, przyczem załoga parowca, ani nawet nie zauważy tego nieszczęścia.

Z rana 19 lipca cztery parowce miały istotnie zamiar zawinąć do algierskiego portu. Dwa z nich, angielskie, poczęły przeznosić aż mgły ustąpiły, dwa inne zaś, francuskie, a przeto niecierpliwie podpłynęły do brzegów — osiadły na mieliźnie, skąd je dopiero z wielkim trudem trzeba było ściągać jeszcze wtedy, gdy już angielskie statki z powrotem z portu wypływały.

Zadna dotychczasowa teoria powstawania sirocco nie jest zadowalającą, a tem samem i przyczyny poprzedzające go mgły nie są dotąd nieznanymi.

W nocy z 20 na 21 zaczęła mgła ustępować, a 21 wzniosła się rtęć w termometrze do 41 stopnia w cieniu, a 64 na słońcu, dnia 22 zaś o godz. 2 popołudniu doszedł upał do maksimum. Termometr wskazywał 46° w cieniu, a 68 na słońcu, w powietrzu zaś higrometer nie mógł się doszukać ani odrobiny wilgoci.

Ciekawe są zjawiska obserwowane podczas takiego skwaru.

Nadpływające np. z gór chmury nagle stają a po chwili rozpluwają się w przestworzach.

Widocznie płomienne języki rozpalonego powietrza spaliły je w okamgnieniu do szczytów.

Woda morska blisko brzegów tj. tam, gdzie fale są nieznaczne, nie nadaje się zupełnie do kąpiei, bo termometr zanurzony w nią wskazuje 42° ciepła. Skorupa ziemska jest również gorąca i to nie tylko w dzień, ale i przez całą noc, nie na samej jedynie powierzchni, ale nawet w głębokości 10 centymetrów pod powierzchnią. W tej głębi termometr pokazuje jeszcze czterdzieści stopni gorąca.

Mimo szalonego upału nikt się nie poci, bo krople potu zaledwie się ukazują na skórze, natychmiast się ulatniają, wysysane przez słońce. Ludzie co chwila piją wodę, aby skóra ich nie straciła zupełnie wilgoci i aby wewnętrzna temperatura ciała pozostała na takim stopniu, na którym życie jest możliwe.

Aby zbadać tę temperaturę wkłada się w usta kulkę termometru t. zw. febrycznego — oczywiście jeżeli jeszcze jest cały, bo w czasie sirocco w zbyt krótkich termometrach rtęć gwałtownie podnosi się w górę, a gdy jej miejsca zabraknie, rozsada szkło. Otóż termometr włożony w usta powinien również szybko spaść do 37 stopni, jak szybko podczas febrji podskakuje w górę.

Owoce niektórych roślin np. owoce akantu pękają podczas sirocco z głośnym hukem a pestki odskakują z wielką siłą bardzo daleko. Nieszczęśliwe są te rośliny, które nie mają twardych, skorzystych liści, ani głębokich korzeni, bo w jednej chwili wszystko, co na nich było zielone, przemienia się w czarne. Widok, jaki winnice przedstawiają w sirocco jest żalospny, a o zbiorach po takiej klęsce prawie mowy nie ma.

Zazwyczaj trwa sirocco trzy dni, a tylko czasami jeszcze dłużej.

Pragnienie.

Amerykański uczonec Mc Gee zrobił w r. 1894 nankową wyprawę do kraju Indian, dotychczas prawie nieznanego, a nazywanego Papagosa i Seri. Mieszkają oni na terytorych Arizony i Sonory w Meksyku.

W podróży tej przebywał ziemie, we wnętrzu Papageryi, położonej na kraju pustyni arizonskich i sonorskich, ziemie nazywane Doliną Śmierci, gdzie termometr stale przez kilka miesięcy w roku pokazuje 45 stopni Celsiusa a nawet i więcej ciepła.

Powietrze tam jest tak suche, że wiadro wody prawie w oczach wysycha, a ani z konia, ani z człowieka mimo szybkiej jazdy ani kropla potu nie spływa. Skwar każdą kroplę natychmiast wysysa. Ziemia jest tam tak twarda, jak palona glina, a tak gorąca, że bosa noga parzy się, stąpając po niej. Jedynymi roślinami są soczyste monstra roślinne, kaktusy i agawy. Indyjanie, mieszkający tej ziemi, wyglądają jak wyschłe mumie.

Tam to jest klasyczna kraina pragnienia i tam jego objawy Mc Gee studiował. Różnica on pięć stopni pragnienia, doprowadzających na ostatku śmierć, a zależnych od stopnia suchości atmosfery.

Na pierwszym stopniu, nazywanym przez Mc Gee’go „przykrym” w ustach uczuwa człowiek spragniony suchości i gorąco. Napięcie krtań wywołuje mimowolny ruch lykania czegoś. Szczęka dolna opada. Głos chrypiący, szyja boli chwila, a człowiek doznaje uczucia jakiejś przykrości, które się stopniowo zmienia w rozdrażnienie.

Można się tego uczucia pozbyć, biorąc w usta kamyczek lub żdźbło, co drażni gruczoły ślinowe i tym sposobem doprowadza wilgoć do ust.

Na ugaszenie tego rodzaju pragnienia wystarcza bardzo mały łyk wody, a wogóle człowiek jeszcze nad niem zupełnie panuje. Tak np. w ten sposób spragniony człowiek, gdy natrafi na wodę brudną lub stęchlą, nie da się skusić do wypicia więcej nad nader małą ilość, a gdy przypadkiem w takiej wodzie jeszcze coś brzydkiego pływa, to trzeba się przezwyciężać, aby jej przynajmniej kroplę wypić.

Jeżeli natomiast nie ma nigdzie w pobliżu ani takiej nawet wody, to febryczne podrażnienie bardzo szybko się wzmaga i następuje drugi stopień pragnienia, który Mc Gee nazywa cottonmouth tj. bawelnianymi ustami, początkiem omdlenia.

Wówczas skąpa ślina i wilgoć jamy ustnej pienia się zleka około ust, przywiera do zębów, utrudnia mowę i przykleja język do podniebienia. Człowiek doznaje takiego wrażenia, jak gdyby w gardle wisiał mu na sznurach jakiś ciężar, od krtań biegał imaginacyjne sznurki ku uszom i ręka instynktownie co chwila się podnosi, aby zerwać te dokuczliwe więzy.

Puls biją szybko, a każde uderzenie krwi odbija się bólem na szyi, który to ból zdaje się jak gdyby schodził w dół po kości pacierzowej. Od czasu do czasu dzwoni w uszach i to w rozmaitych tonach. Raz słychać, jakby głos struny napiętej, to znowu taktok

i loskot jakiegoś podziemnego pociągu, wpadającego do tunelu.

Fantazja płata wtedy spragnionemu przykre figle. Pokazuje mu źródła bijące w oddali w cieniu prześlicznie zielonych drzew. Początkowo przykre uczucie rośnie aż do silnego rozdrażnienia, a chorobliwy popęd do ruchu i czynności zmienia się w zupełną apatię.

W takim stanie człowiek samotny jest zły, milczący i krótkie sam z sobą tylko prowadzi dialogi. W towarzystwie innych staje się gadatliwy, ale o jednej tylko rzeczy bez przerwy mówi tj. o wodzie.

Twarz spragnionego jest zapadła, jakby po ciężkiej chorobie, posępna, oczy nabiegają krwią i łzami, ruchy stają się szorstkie, a mowa raz szybka raz powolna. Człowiek wygląda wtedy tak, jakby był chorym na febrę, a uciekł ze szpitala. Ulgę przynosi dopiero litr wody, wypitej naraz albo dwoma łykami.

Na trzecim stopniu pragnienia zamienia się piana koło ust w skorupę, podobną do tej, jaką na skórze tworzy kolodjusz albo guma arabska zaschnięta. Skorupa ta ścisła wargi i skrzywia je do ironicznego uśmiechu. Równocześnie twarz krzywi się w szkaradnym grymasie. Dziąsła odpadają od zębów, a krew z nich płynąca ścina się w grudy. Język okrywa się klejem, a głos wydobywa się ust jak tłumione szczekanie.

Zdaje się, jak gdyby jakieś żelaza ściśnięte głowę. Szyja i połowa krzyżów dają takie wrażenie, jak gdyby były jedną wielką bolączką, mocono czuć ściśniętą, którą lancet chirurga przeciął, a która wśród piekącego bólu kolejno kureczy się i rozkurcza.

Za każdym skurczem serca uczuwa człowiek bolesne pukanie na całym ciele. W uszach szumi coś i trzaska. Z oczu płyną bez przerwy łzy i bez przerwy wysychają. Gałki oczne chowają się w głąb. Znieczulenie rozszerza się powoli od twarzy na ręce i na całe ciało, a w miarę jego posuwania się wzmaga się oszołomienie całego organizmu.

Jedynym na ten stan lekarstwem jest woda, którą człowiek wówczas wypija chwiei, choćby nie wiem jak była nieczysta. Woda, wypita wtedy naraz, w zbyt wielkiej ilości, doprowadza śmierć.

Stan powyższy nazwał Mc Gee stanem of shrivelled tongue, stanem skróconego języka.

Gdy człowiek i wówczas jeszcze nie doświadczył bólu, zaczyna mu owa wspomniana podobna do zaschniętej gumy skorupa na ustach pękać i odpadać. Pęka również skóra i ciało pod nią, a człowiek poci się krwią i skrzepem. Wydzieliny te parują również szybko, jak szybko się tworzą, a to, co nie może się ulotnić, zasycha na powierzchni skóry.

JAN-LA-MICHE

przez S. Bobée.

(Ciąg dalszy.)

Po co to uwodzenie, złośliwość, okrucieństwo? Gdyby była powiedziała otwarcie, przebaczonoby jej, lecz taka bezczelność zasługiwała na srogą karę...

Takie to gadaniny pani Troussard przepowiadała swojemu synowi przybranemu, w złe zrozumianym zamiarze rozerwania go w jego smutnym. Takimi to zamiarami piekło jest wybrukowane.

A jednak Rozalia Troussard nie była głupia. Pod niektórymi względami miała nawet prawdziwe doświadczenie życiowe, lecz jej znajomość psychologii pozostała bardzo pierwotną, wierzyła jeszcze, że miłość i szacunek idą koniecznie w parze; nie wiedziała w swojej anielskiej prostocie, że można kochać, pogardzając, uwielbiać, nienawidząc, i nie powiedziała sobie tego, że chce pocieszyć zakochanego nieszczęśliwie, wykazując mu niegodność przedmiotu jego miłości, to tak samo, jak chce zagoić krawiarską ranę, zwilżając ją octem i posypując się pieprzem.

Biedny Jan la-Miche cierpiał męki piekielne, słuchając tych wszystkich opowiadań. Czasami miał ochotę stanąć w obronie Maryi i kusilo go powstać gwałtownie na matkę przybraną i połamać ko-

ści wszystkim plotkarzom i plotkarkom w domu.

Lecz panował nad sobą, milczał, związał i palił papierosy machinalnie i błękał się jak potępieniec po mieszkaniu matki przybranej.

W danej chwili, patrząc przez okno, zobaczył Maryę, przechodzącą przez podwórce.

W milczeniu, nie odpowiadając Rozalii Troussard, która, niespokojna, pytała go, wziął kapelusz i pobiegł w ślad za Maryą.

XIII.

Maryja Lenoir niesła duży ruloł owinięty w ceratę. Szła ulicą Rodier, aż do ulicy Maubeuge potem zawróciła w Lafayette i weszła w ulicę de Trévise.

Tu zatrzymała się przed małym pałacem, którego elegancki i artystyczny wygląd zauważył Jan la-Miche. Zadzwoniła do bramy żelaznej ażurowej; szwajcar w ciemnej liberyi przyszedł otworzyć i weszła do zbytkownego domu śmiało, jak gdyby nie pierwszy raz...

A jednak z silnie bijącym sercem biedna dziewczyna udawała się do Jakóba Brizard, ze swoimi akwarelami...

Pójdziemy tam za nią w swoim czasie... Jan stanął na środku ulicy, nieprzytomny z oburzenia, grube krople potu wystąpiły mu na czoło, ręce konwulsyjnie się zaciskały.

Naraz ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu. Odwrócił się przelęknięty

Mężczyzna, czerwony na twarzy, gruby, w niebieskim kaftanie stał, patrzył na niego drwiąco i głosem ochryplym od nadużycia trunków, mowil:

— No cóż, panie Janie la-Miche, co pan tak stoi na środku ulicy, jak ślup?

Jan poznał pana Rouqueyrolles, właściciela majej restauracji i winiarni z ulicy Joquelot, u którego jadł czasem, a który świeżo przeniósł się na ulicę de Trévise.

Młody typograf starał się okazać swobodnym.

— E! — rzekł — właśnie mówiłem sobie, iż nie gniewałbym się, gdybym mógł mieszkać w takim małym pałacyku.

— Wierzę! — odpowiedział Rouqueyrolles — lecz pan i ja musielibyśmy długo i dobrze pracować, zanim moglibyśmy kupić sobie taką nieruchomość.

— Tak mi się zdaje.

— Mój panie kochany! wystaw sobie, jegomość, który tu mieszka, tak ma wypchane kieszenie, iż uważany jest za dziwaka, że paradieszszego pałacu nie kupił.

— Doprawdy?... Wieć taki bogaty?

— Nie wie nawet ile ma... Jak choe obliczyć dochody, to mu czasu nie wystarczy, musiałby na to całe życie poświęcić.

— Przesadzasz, mój panie!

Tak jest... Wreszcie, trzeba powiedzieć na jego pochwałę: dobrze używa pieniędzy.

— Ah!

Tak... serce na dłoni... Nie odmawia nigdy przysługi... I umie żyć... O, w tym domu nie znaję nudów... Bawią się z całego serca... Artysci, malarze i muzycy, aktorzy,

panowie klubowcy... Grają, tańczą, piją szampana...

— Jak się nazywa ten stary milioner?

— Jakób Brizard... Ale to nie żaden starzec... młody chłop... nie taki, jak pan... ale przystojny i rzecki, a silny, jak powiadają, orzechy w palcach gniecie... Ładny jest, a gdyby nawet był biedny i takby się dał podobnie... Lecz co panu? zbladłeś, jak ściana!

— Nic... trochę migreny.

— Tak jak u kobiety?

— A tak, jak pan widzi.

— To chodź pan wypić kieliszek, od razu pomoże.

Jan poszedł z restauratorem i jednym tożem wypił kieliszek koniaku.

— He... dobry? — rzekł kupiec. — Chociaż go dla siebie i dla przyjaciół... Jeszcze kieliszek?

Tak, ale tym razem ja funduję.

— Jak się panu podoba... Za zdrowie...

— Za zdrowie!

— Jeszcze trzeci?

— Dziękuję, panie Rouqueyrolles; muszę wracać.

— Więc do widzenia.

— Do widzenia.

Jan la-Miche wyszedł ze sklepu. Dwa kieliszki koniaku rozgrzały mu krew, nie czuł już tak wielkiego zmartwienia.

Stał chwilę zapatrzony w pałac Jakóba Brizard. Szalone myśli przychodziły mu do głowy.

Miał ochotę zadzwonić do bramy i po-

wiedzieć, że ma interes do panny Maryi Lenoir, która tylko co weszła...

A co byliby jej powiedział? sam nie wiedział...

— Ah! cóż to za kobieta — pomyślał — tylko co matkę pochowała i poszła na schadzki miłosną do zwykłego rozpustnika!...

Oddał się szybkim krokiem, pewny, że wyleczył się na zawsze z namiotności, jaką teraz uważał za niegodną człowieka uczciwego.

Pię mu się chciało, wszedł do kawiarni i wypił jeden po drugim dwa kieliszki absyntu...

Pierwszy raz w życiu użył tego strasznego napoju. Wrócił do domu pijany. Zmieszli gwałtowny ból głowy, dla ukrycia swego stanu przed matką przybraną, położył się na łóżku i leżał pogrążony w bólu aż do godziny wyjścia do redakcyi.

Nie jadł obiadu, a była już dziewiąta godzina wieczorem.

Przechodząc koło łóża pani Lamiette, która jeszcze nie spała, zapytał, czy nie widziała powracającej panny Maryi Lenoir.

— Nie, panie Janie — odpowiedziała odzwierna patrząc na niego z politowaniem, co do pasji przeprowadziło młodego człowieka.

(O. d. n.)

Kompletne wyprawy ślubne, płótna, stołową bieliznę, chustki płóciennie i ręczniki

połoca najtaniej **M. LUDWIG**
Lwów, plac Maryacki 8.

